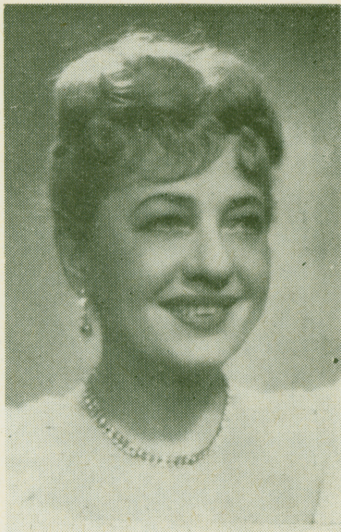


AKTOR — marzenia, myśli, rozterki

MARIA MALICKA



Róże i kolce

Nie pamiętam która z wielkich aktorek użyła następującego motto do swych wspomnień: „Nie grałam po to aby żyć, ale żyłam, aby grać”.

Niech mi będzie wolno zmodyfikować nieco te słowa: „Urodziłam się po to, aby grać”.

Od dziecka miałam teatr we krwi, od dziecka grałam w teatrze, nie rozstawałam się z teatrem nigdy. Potrzebowałam go zawsze tak, jak się potrzebuje powietrza. Teatr spełniał moje najtajniejsze marzenia: bycia ciągle kim innym, przeżywania coraz to innych

wzruszeń i uniesień. Teatr był moją świątynią, w której atmosferze poruszałam się z najwyższą czcią dla wszystkich i wszystkiego. Byłam pełna pokory w odnoszeniu się do ogółu aktorów, a prawo do pocałowania ręki przy powitaniu wielkiej aktorki Ireny Solskiej uważałam za szczęście i wielki zaszczyt.

Wyrosłam i wychowałam się w pięknej atmosferze Teatru im. Słowackiego w Krakowie, który to teatr dał mi dużo wiedzy aktorskiej, teatralnej, nieklamane podziwu dla wielkiego artyzmu znakomitych aktorów. Był zresztą moją jedyną prawdziwą uczelnią teatralną.

Jakże piękna była ta epoka spełniających się marzeń! A gdy Rubikonem stała się Warszawa, moje drugie po Krakowie ukochane miasto, realizacja moich pragnień i marzeń trwała i trwała. Znakomite stołeczne teatry, ich wysoki poziom, wielcy reżyserzy: Schiller, Zelwerowicz, Węgierko, Borowski — wszystko to było rękojmią dalszego mego rozwoju, owocnej, dwudziestoleniej pracy na tych wielkich scenach, w kłańcowo różnym repertuarze, poczynszy od wielkich dramatów, a na bulwarowych komediach skończywszy.

Stawiano mi bardzo często pytanie, o jakiej, czy o jakich rolach marzyłam? — Tego uczucia nie znałam. Role zawsze spadały na mnie nieoczekiwanie, nigdy ich sobie nie wybierałam, o żadną się nie ubiegałam. Każdą kochałam od pierwszej próby, każdą w Warszawie grałam setki razy, a jedną z nich nawet przeszło dwa tysiące razy. Bywało, że grałam codziennie, z rzędu, bez wytchnienia sześćset razy, a czasem zdarzało mi się grać trzy lub cztery razy dziennie tę samą sztukę. Nie czułam żadnego zmęczenia, praca mnie upajała, serdeczny oddźwięk widowni

był mi bodźcem do największych wysiłków. Była to moja „droga po różach”, jak mi napisał w recenzji któryś z wybitnych krytyków warszawskich (chyba Makuszyński).

Ciernie zaczęły się później i to bardzo ostre. Skończyły się „piękne dni Aranjezu” jak mówi poeta. Wojna, okupacja, powstanie!

Wszystko się przewartościowało, przebudzenie było straszne. Z marzeń nie zostało nic!

Zostały konkrety: pięćdziesięcioletni dorobek ogromnej liczby wspaniałych ról w teatrze a także i w filmie, ciekawych postaci, tysiące spektakli nie tylko krakowsko-warszawskich, ale dawanych dosłownie całej Polsce po jej najdalsze, najmniejsze zakątki. Zdobyte trwałe sympatii i uznania prasy i publiczności — a to jest bardzo wiele. To wielka nagroda za pół wieku ciężkiej, pięknej, może aż za bardzo zachłannej pracy.